

Krzysiek wlaź do Kirkora



Giewont, północna ściana

Od smyka do taternika

Nartki Miś

Mam cztery albo pięć lat. Jestem w Poroninie z rodzicami i maleńką Magdą (jest dwa i pół roku młodsza). Jest zima. Mam maleńkie nartki Miś. Zamiast wiązania jest przybity do narty bucik, w który wkłada się nogę we właściwym dziecięcym buciku i zapina paskiem. Oczywiście między tymi bucikami jest trochę luzu. Znalazłem sobie górkę, tuż przy torach kolejowych. Dorosły człowiek by tej górki nawet nie zauważył. Miała około metra wysokości i jakieś trzy metry stoku. Ale to jest mój pierwszy w życiu stok narciarski. Ma jeszcze jedną zaletę. Obok, po torach jeżdżą parowozy, które mają wielkie koła połączone jakimiś belkami. Z przodu jest tłok, z którego bucha para. Strasznie mnie te koła, relingi, tłoki i buchająca para fascynowały. Po powrocie do Warszawy rysowałem parowozy.

Ja sobie zjeżdżam z mojej górki i oglądam parowozy. Mam też drewniane kijki narciarskie, za duże, ale „dobre, bo dębowe”. Później, już chyba w następnym roku, przenoszę się na większą górkę. To taka skarpa ciągnąca się równolegle do torów, ale jakieś sto metrów dalej od nich. Ma już około dziesięciu metrów wysokości, a gdzieś tam nawet trochę więcej. Tam już poznałem paru miejscowych chłopców w moim i nieco starszym wieku. Odbylem też pierwszą w życiu naukę o mrozie. Bardzo zmarzły mi ręce, więc pobiegłem do domu, w którym mieszkaliśmy i włożyłem ręce do miski z ciepłą wodą. Ból, który przeżyłem nauczył mnie na całe życie, że tak się nie robi.

Na tym dziecięcym stoku zrozumiałem, dlaczego górale świetnie jeżdżą na nartach. Bo ja miałem inteligentne nartki Miś, a ci chłopcy mieli talerz blaszany, kawałek blachy lub klepkę od beczki. Dziś wiem, że jak ktoś się uczył jeździć na klepcie od beczki lub kawałku blachy, to gdy ma już prawdziwe narty, dostaje skrzydeł.

W tym towarzystwie w użyciu był jeszcze jeden wynalazek. Kwadratowa deska a do niej przymocowane od spodu cztery łyżwy. To były szalone sanki. Jeździło się na nich po szosie prowadzącej do Bukowiny. Szosa była oblodzona i na tych sankach dostawało się szalonej prędkości. Patent miał dwie metody zatrzymywania się: na „stłuczkę” i na „wysiadkę”. Albo trzeba było wpaść na jakąś przeszkodę, albo spaść z saneczek na bok. Ten szalony patent innymi metodami zatrzymywać się nie chciał. Dobrze, że moi rodzice nie znali głównej atrakcji tych zjazdów: pojawienia się na szosie samochodu. Nic się nigdy nie stało, bo kierowcy byli mądrzejsi od nas.

Tłem tego wszystkiego były widoczne z daleka ośnieżone góry. Były wielkie i tajemnicze. Takie stojące w oddali białe olbrzymy. Z czasem góry zaczęły mnie fascynować bardziej niż parowozy.

Letnie wakacje spędzaliśmy w pobliżu gór a góry widziałem ciągle z daleka. Wakacje w Witowie to głównie zabawy w potoku. Jedynym wydarzeniem jakie zapamiętałem z tych wakacji, był pies gospodarzy, który pogryzł Alę, moją siostrę cioteczną. Ciekawiej było już w Jaszczurówce, gdzie nauczyłem się nowego zajęcia – zbierania rydźców. Rydze i gołąbki były pyszne. Smażyliśmy je na blasze kuchni opalanej drewnem. Kładliśmy je wprost na blasze, blaszkami do góry, kładliśmy na nie trochę masła i posypywaliśmy solą. Ale najciekawsze było samo zbieranie, głównie na Hali Olczyńskiej i na Kopieńcu. Na Hali Olczyńskiej zaczęło mnie fascynować nowe zajęcie – włożenie na głazy. Głazy granitowe leżące wokół potoku Olczyńskiego były większe ode mnie (miałem jakieś 8 lub 9 lat). Dziś ktoś mógłby powiedzieć, że zacząłem uprawiać buldering, ale wtedy chyba nikt jeszcze nie znał tego pojęcia. To był taki instynkt dziecka, że na taki głaz, skoro jest, to trzeba wleźć.

Gdy wracaliśmy Doliną Olczyską, mijaliśmy po prawej stronie mocno przewieszoną skałkę. To była taka pochylona skalna płyta. Oczywiście wlażłem na nią po stronie pochyłej, ale zacząłem kombinować, jak wleźć po stronie przewieszonej. Oczywiście nie miałem szans, choć ta skała ma chyba nie więcej niż kilkanaście metrów. Ta moja fascynacja włożeniem nie była jeszcze wspinaczką, bo

obejmowała także włożenie na drzewa. Przecież wszyscy chłopcy w tym wieku, pominąwszy jakieś straszne safandule, chodzą po drzewach.



Z Magdą na kamieniu w Dolinie Olczyskiej. Fot. Archiwum rodzinne.

Z wakacji w Jaszczurówce pamiętam jeszcze dwa wydarzenia: klocki lego i straszną burzę. Dostałem pierwsze w życiu klocki lego, co w czasach siermiężnego socjalizmu było nie lada atrakcją. Te klocki nie były tak wyszukane jak dziś. Składały się tylko trzech prostych elementów o różnej długości i dwóch w kolorach – białym i czerwonym. Mimo to potrafiłem budować z nich spore konstrukcje.

Ze straszną burzą to było tak: byliśmy, ja i Magda, z mamą w dolinie Olczyskiej, gdy zaczęło grzmieć. Mama zarządziła ewakuację i bieглиśmy w dół doliną do Jaszczurówki. Burza była potężna, a my byliśmy w jej centrum. Pioruny waliły jak oszalałe i nie gdzieś, tylko tu. Magda jako najmłodsza biegła ostatnia. W pewnym momencie rozległ się ogłuszający huk i oślepiający błysk. Obejrzałem się za Magdą i zobaczyłem jakieś sto metrów od nas jak wielki świerk rozpada się na dwie pionowe połowy i staje w ogniu.

Dziś wiem na czym polega to zjawisko. Przed wylądowaniem w takim drzewie zbiera się olbrzymi ładunek elektryczny, a ładunki jednoimienne się odpychają. Ta siła odpychania zaczyna być tak wielka, że rozpoławia drzewo. Ta sama siła oddziaływania elektrostatycznego potrafi w górach rzucać kamieniami i to całkiem sporymi. To było moje pierwsze spotkanie z grozą burzy w górach.

Tu mała dygresja.

W dorosłym życiu alpinisty doświadczyłem dwa razy grozy górskiej burzy. Wybraliśmy się z Wojtkiem Dzikiem na południową ścianę Wołowej turni. Podchodziliśmy z Morskiego Oka Zachodem Grońskiego, kiedy zaczęło grzmieć, a myśmy dostali jakiejś beztroski i wmawialiśmy sobie, że to „samoloty przekraczają prędkość dźwięku”. Absurd. Gdzie? Jakie samoloty? I beztrosko szliśmy dalej. Gdy byliśmy już pod ścianą, zaczynało kropić i grzmoty były już wyraźne. Zrezygnowaliśmy z ambitniejszego celu, nie pamiętam już jakiego i postanowiliśmy przejść chociaż łatwą (V-) drogę Stanisławskiego. W pewnym momencie lunął deszcz, a my staliśmy na stromej płycie oddzielnie i nie mogliśmy się ruszyć, bo między nami walił istny wodospad wody lejącej się ze ściany. Trwało to chyba z pół godziny. Zmokliśmy jak cholera. Gdy deszcz ustał, ruszyliśmy w stronę szczytu i zaczęła się nowa zabawa - pioruny. Wołowa Turnia jest wysokim szczytem, górującym nad okolicą. W pobliżu szczytu kamienie zaczynały być elektryczne. Normalnie prąd kopał. Na szczycie mikro wylądowania co raz sadzały nas na ziemi, raz jednego, raz drugiego. Zwiewaliśmy stamtąd czym prędzej i nikt już nie mówił o samolotach przekraczających prędkość dźwięku.

Drugi raz przeżyłem grozę burzy w górach w Himalajach Kaszmiru. Było nas pięciu w obozie na wysokości 5450 m. Na końcu ostrej grani podciętej pionową ścianą. Widzieliśmy z daleka nadciągającą burzę. Nad niższym pasmem, które nazywaliśmy Niepotrzebnymi Himalajami (bo najwyższe szczyty tego pasma ledwie przekraczały pięć tysięcy metrów) wisiał wielki wir czarnych chmur w którego centrum błyskało coś, co wyglądało jak snopy iskier. To były pioruny widziane z odległości ponad stu kilometrów. Widzieliśmy, jak ten czarny błyskający kłęb do nas idzie. Robiło się ciemno i nic nie mogliśmy poradzić. W górach takich jak Tatry można gdzieś zejść z grani, ale nie w Himalajach. To nie ta skala. Wynieśliśmy tylko z namiotów wszystkie metalowe przedmioty i czekaliśmy. Najpierw po ortalionie namiotu i śpiworów zaczęły chodzić jakieś rozbłyski, jakby pełzając płomienie. Później zaczęło nam podnosić włosy a z palców świeciły ognie św. Elma. W końcu gdzieś w pobliżu następowało wylądowanie i wszystko zniknęło. Ale po chwili znowu. Trwało to chyba z godzinę. W końcu nic się nie stało, ale co się strachu najedliśmy to nasze.

Moje zainteresowanie włożeniem na coś, choćby kamienie, rozwinęło się w czasie wakacji w Zakopanem, tuż przy wylocie doliny Strążyskiej. Tu już w zasięgu dziecięcych „szwendaczek”, bo wycieczkami nazwać to trudno, były prawdziwe skałki regłowe. Z całą gromadką miejscowych dzieciaków z ulicy Bogdańskiego i Kasprusi, w tym z braćmi Kłamerusami, szwendaliśmy się bez nadzoru rodziców po dolinkach Strążyskiej, Ku Dziurze, Białego Potoku, Małej Łąki, bo to po prostu było bardzo blisko naszego wakacyjnego domu. Stopniowo włożyłem na różne Sarnie Skałki i inne skałki regli oraz Małego Giewontu. Miałem już jedenaście lat. To właśnie wtedy Magda postawiła w stan alarmu całe dorosłe towarzystwo okrzykiem:

- Krzysiek wlaź do Kirkora i nie wylazł!

Oczywiście nie była to prawda, bo wylazłem. Żleb Kirkora znajduje się między Giewontem a Małym Giewontem. Prowadzi nim łatwa droga wspinaczkowa, która później, już jako dorosły i doświadczony taternik przeszedłem „na żywca”, to znaczy solo i bez asekuracji. W mojej dorosłej ocenie nie ma tam większych trudności niż III, ale trójka dla dorosłego, to co innego niż dla jedenastolatka, zwłaszcza, że ja już wtedy byłem niskiego, jak na swój wiek, wzrostu.

W Żlebie Kirkora są trzy progi, pierwszy ma około dziesięć metrów, drugi około dwadzieścia, a trzeci aż czterdzieści. Wlazłem do połowy pierwszego i się przestraszyłem. I całe szczęście, bo był to ostatni moment, w którym mogłem jeszcze zawrócić. Z tym zejściem zaledwie kilku metrów miałem już poważne kłopoty i niezłego pietra. Jakie kłopoty? - powie ktoś dorosły – przecież tam jest zupełnie łatwo. Owszem, jest łatwo, ale dla dorosłego, a nie dla dziecka. Dostałem wtedy kolejną górską lekcję – najpierw się myśli, później wchodzi, a nie odwrotnie. Gdyby wszyscy turyści znali tę zasadę TOPR miałby znacznie mniej roboty.

Muszę tu wyjaśnić czytelnikom nie znającym gór, co to jest wycena trudności, np. „trójka”. Trudności wspinaczki skalnej określa się stopniami. Te skały trudności są różne, ale ponieważ piszę o czasach historycznych posługuję się starą skalą tatrzańską od 0 do VI. Dziś pokonuje i się trudności przedłużeniu w tej skali X i XI (a nawet więcej). W tej starej skali tatrzańskiej były też określenia słowne:

0 – bez trudności

I – nieco trudno

II – dość trudno

III – trudno

IV – bardzo trudno

V – nadzwyczaj trudno

VI – skrajnie trudno.

Dalej już zaniechano skali słownej i VII to po prostu „siedem”. W czasach, gdy zaczynałem się wspinąć, nikt nie przechodził trudności większych niż VI. Siódmy stopień trudności ustanowił Reinhold Messner w Dolomitach.

Wypada dodać jeszcze, że wszystkie szlaki turystyczne, z Orlą Percią łącznie, mieszczą się w skali trudności 0 – zero. W tamtym czasie trójkę traktowało się już jako regularną wspinaczkę, choć taternicy po jedyńkach i dwójkach chodzili bez asekuracji. I dla mnie w pierwszych latach wspinania była to regularna wspinaczka, do której związywało się liną i prowadziło pełną asekurację. Pod koniec mojego alpinizmu, który trwał pięćdziesiąt lat, nie widziałem powodu, by asekurować się na czwórce, a nawet na piątce. Ale to osobny temat. Jednak wtedy, gdy miałem jedenaście lat, trójka była naprawę poważnym wyzwaniem. No i ja wówczas nie wiedziałem, że w ogóle jest jakaś skala trudności, że istnieją opisy dróg i przewodniki taternicze.

To lato w Zakopanem było też dla mnie przełomowe pod innym względem. Rodzice wreszcie uznali, że ja i Magda jesteśmy już na tyle duzi, że można nas zabierać na wycieczki w góry. Problem dotyczył zwłaszcza młodszej ode mnie Magdy. Udało mi się uprosić rodziców, byśmy poszli na Czerwone Wierchy. Rodzice zgodzili się z oporami, więc zgoda była warunkowa. Uznali, że w zależności od sił Magdy będziemy wycieczkę kontynuować, lub ją skrócimy.

Przeszliśmy Doliną Strażyską na przełęcz w Grzybowcu. Magda nie okazywała oznak zmęczenia, więc szliśmy dalej. W miejscu, gdzie odchodzi szlak na Giewont, zaproponowałem:

- A możemy wstąpić na Giewont, tam jest łatwo i niedaleko?

- A ty skąd wiesz? – zapytał ojciec.

- Bo tam byłem.

Rodzice osłupieli.

- Jak to byłeś, kiedy?

- *W piątek – odparłem.*
- *Z kim?*
- *Sam.*

Rodzicom miny się wydłużyły, bo nie zdawali sobie sprawy z tego, że nasze warszawsko-góralskie dziecięce wędrówki znacznie już zwiększyły zasięg terytorialny. Mama wtedy powiedziała:

- *Trzeba zabierać ich w góry, bo inaczej będą chodzić sami.*

W rejonie Przełęczy pod Kopą Kondracką Magda nadal nie wykazywała objawów istotnego zmęczenia, więc ojciec stwierdził, że dalej są już niewielkie różnice wysokości, a później tylko zejście do Tomanowej i Ornaku. W najgorszym razie zanocujemy na Ornaku. Przeszliśmy przez Małołączniak, Krzesanicę i Ciemniak. Zeszliśmy do Doliny Tomanowej i do Ornaku. W schronisku na Ornaku zjedliśmy obiad i spokojnie wróciliśmy przez Przysłop Miętusi i Drogę pod Regłami. Rodzice byli wyraźnie zaskoczeni naszą kondycją. A Magda przecież miał tylko dziewięć lat.



Z Magdą w szałasie na Chochołowskiej (kilka lat później). Fot. Jerzy Łoziński.

Po latach myślę, że tajemnica naszej nadzwyczajnej kondycji była dość prosta. Myśmy już drugi miesiąc myszkowali pod regłach i podnóżach Giewontu. Codziennie łąziliśmy pod górę i na dół. Czy wiecie państwo, czemu górale mają taką kondycję? Przecież oni całe życie codziennie chodzą pod górę, do szkoły lub ze szkoły, do sklepu lub ze sklepu... A później widzimy jak niemłode gaździnki z dwoma bańkami śmietany w plecaku (30 kilogramów lub więcej) zasuwają na Halę Gąsienicową przez Boczań i nad Czarny Staw sprzedawać tę śmietanę turystom, którzy docierają tam zasapani.

Tego lata odbyłem jeszcze dwie wycieczki z mamą, ale już bez Magdy (tata z jakiegoś powodu wcześniej wyjechał). Najpierw poszliśmy na Halę Gąsienicową i przeszliśmy przez Zawrat i Świnicę do Kasprowego, z którego luksusowo zjechaliśmy kolejką. Ja wcześniej słyszałem od turystów jakieś straszne opowieści o Zawracie i byłem przekonany, że to jest jakiś wybitnie trudny szczyt. Byłem zaskoczony, że to jest przełęcz i droga na nią wcale nie jest trudna. Kolejną wycieczkę zrobiliśmy tydzień później na Orlą Perc. Wjechaliśmy świtem bladym na Kasprowy i poszliśmy granią aż do

Krzyżnego, skąd w dół do Pańszczycy i drogi do Białego. Trochę to mi jednak dało w kość, ale nie ze względu na mityczne trudności tylko ze względu na sporą odległość.

Zapytacie pewnie, skąd moja mama miała taką kondycję? To proste. Była jeszcze dość młoda, miała 39 lat, przedwojenna harcerka, później hufcowa Szarych Szeregów i wreszcie żołnierz Armii Krajowej, uczestniczka powstania... Była silna psychicznie i fizycznie mimo niskiego wzrostu (150 cm) i małej wagi (42 kg). Taki życiorys wychowuje silnych i odważnych ludzi. A przy okazji – Sierpowiec też nie są wysocy.

Wspomniałem o braciach Klamerusach, a było ich czterech, ale parę słów chce poświęcić jednemu z nich, Władowi. Młodszy ode mnie o 8 lat Władek w tamtym czasie był małym dzieckiem, ale nasza przyjaźń trwała długo. W dzieciństwie chorował na chorobę Heinego-Medina. Miał niemal bezwładne nogi i chodził o kulach. Mimo to jako młody dorosły wspinał się w Tatrach niemal na samych rękach. Ponieważ całe życie chodził właściwie dzięki sile rąk, miał ręce niezwykle silne, co pozwalało mu także rzeźbić. Pamiętam, jak prosił mnie, bym mu skonstruował kule ze zginającą się końcówką, która trzymałaby na pochylej powierzchni, bo mówił, że większą trudność sprawia mu podchodzenie po piargach, niż sama wspinaczka. Policzyłem tę konstrukcję i niestety wyszło, że to nie będzie działać. Władek przechodził z różnymi partnerami naprawdę trudne drogi, między innymi „Superdirtissima” na Mniszku, drogę mojego autorstwa wycenianą wówczas na VII-, czyli drogę potężnie trudną. Nawet jeśli partner pomagał mu liną, był to naprawdę wyczyn.

Pewnego razu spotkaliśmy się w Warszawie na ulicy Chmielnej. Zaraz obok nas zaczęli się awanturować trzech menele. Władek podszedł do nich, wyciągnął rękę i mówi:

- Cześć.

Menel odruchowo podał mu rękę a Władek ją ścisnął. Menel zawył z bólu, a Władek mówi:

- Prawą masz słabą, dawaj lewą!

Menel rzucił się w nogi a jego kumple za nim. A ja patrzyłem zdumiony, jak inwalida o kulach pogonił trzech meneli.



Władysław Klamerus. Zdjęcie: Wikipedia.

Władek był prawdziwym artystą, rzeźbiarzem, malarzem, scenografem. Był między innymi współautorem pomnika na Umschlagplatz. Zmarł w 1992 roku na raka wątroby. Pod koniec życia

związany był ze sporo młodszą Katarzyną Kozyrą, której nie znałem. Zobaczyłem ją po raz pierwszy w telewizji już po jego śmierci. Telewizyjny dziennikarz zapytał młodą wdowę:

- Jak pani, taka piękna kobieta. Mogła się związać z takim kaleką?

Nie pamiętam kto był tym dziennikarzem, ale jego potworne chamstwo pamiętam do dziś.

Narty na Chochołowskiej

Na narty jeździliśmy z rodzicami wiosną, w maju, niemal zawsze do schroniska na Chochołowskiej. W maju w górach jest jeszcze sporo śniegu, a jednocześnie nie ma już dużego mrozu. Mielśmy już normalne, jak na tamte czasy, narty. Drewniane z okuciami, wiązaniami kandahar i kijki już bambusowe. Oczywiście nikt wtedy nie jeździł w kasku, tylko w „czapce narciarskiej” z pomponem. Jeździliśmy na Hali Chochołowskiej, dokąd na niej był śnieg a nie krokusy albo na Wyżniej Chochołowskiej.



Na grani Rakonia. Od lewej: Danuta Łozińska, Bogusław Szymański, Krystyna Szymańska, Bronisław Szafarkiewicz i Jerzy Łoziński. Fot. Krzysztof Łoziński.

Chodziliśmy też granią od Przełęczy Bobrowieckiej i dalej przez Rakoń, Wołowiec. Zjeździliśmy z Rakonia lub Wołowca na Wyżnią Chochołowską. To już były naprawdę poważne zjazdy, po kilkaset metrów i po stromych stokach. Kiedyś poszliśmy dalej, aż pod Starorobociański i zjechaliśmy w stronę Wyżniej Chochołowskiej, ale wcześniej w teren porośnięty kosówką przykrytą śniegiem. Był z nami ojciec oraz Bogusław Szymański i jego żona „Kicia”. Każdy kto zna góry wie, co to jest kosówka pod śniegiem. Co krok nogi wpadają w jakieś dziury, nieraz po udo, gałęzie oplatają nogi. Grajdaliśmy się przez to parę godzin. Gdy dotarliśmy wreszcie do schroniska ktoś zapytał:

- Jak się nazywa to miejsce?

Spojrzałem na mapę i mówię:

- *Babie Nogi.*

A wszyscy niemal chórem:

- *I wszystko jasne!*



Z Magdą pod szczytem Grzesia (takiej góry nad schroniskiem). Fot. Jerzy Łoziński.

Jedną z postaci jaką pamiętam był Szałaśnik. Nie wiem, jak się ten facet nazywał, ale zasłynął tym, że zawsze jeździł „na kreczę”, kończąc zjazd na Wyżniej Chochołowskiej efektownym walnięciem w dach wystającego ze śniegu szałas. Stąd przezwisko Szałaśnik. Pewnego dnia zapytał mnie:

- *Słuchaj mały, jak ty to robisz, że tak zakręcasz?*

Szałaśnik wcale nie był wspaniałym narciarzem, jak myślałem, bo ja się bałem tak jeździć na kreczę. On po prostu nie umiał na nartach skręcać ani zwalniać pługiem. Gdy pojawiał się na stoku ze wszech stron rozlegały się okrzyki: Szałaśnik, Szałaśnik! Oznaczało to: chowaj się kto może.

Na Chochołowskiej przeżyłem pierwszą fascynację płcią przeciwną. Były z nami dwie siostry Elwira i Grażyna Szafarkiewicz. Ja się tak po dziecięcemu podkochiwałem w Elwirze. Byłem jednak w takim wieku, że stanowiłem odwrotność dziadka Klamerusa. Dziadek Klamerus miał ponad 90 lat i pytany przez wnuków, czy się jeszcze za dziewczynami ogląda odpowiadał:

- *Oglądam się, ale już nie pamiętam po co.*

Ja się już za dziewczynami oglądałem, ale jeszcze nie wiedziałem po co.

Z Elwirą nie spotkałem się już nigdy więcej. W lecie tego 2024 roku zmarła w swoim domu we Francji. Była mniej więcej w moim wieku, czyli ok. 76 lat. Około rok wcześniej jeden raz rozmawiałem z nią przez telefon. Prosiła mnie o zdjęcia Grażyny, bo była ciekawa jak Grażyna wtedy wyglądała. Grażyna, młodsza od Elwiry, była później stewardessą. Zginęła w katastrofie Ił-62 w Lesie Kabackim. Jakiś sporadyczny kontakt z nimi miała natomiast Magda. Elwira podobno rewelacyjnie jeździła na nartach.



Elwira Szafarkiewicz i ja przed schroniskiem na Chochołowskiej. Fot. Jerzy Łoziński.



Grażyna Szafarkiewicz. Fot. Jerzy Łoziński.

Grotolaz

Grotolaz był moim rówieśnikiem i miał to samo imię co ja – Krzysiek. Wszyscy mówili jednak do niego per Grotolaz, bo kręcił się w środowisku Speleoklubu. Miał dosyć dziwne i czasem szalone pomysły. Na przykład, gdy kilka lat później byliśmy obaj na kursie w Speleoklubie, spytał dziewczynę, czy ma mocny kask. Odparła, że tak, więc uderzył ją młotkiem w głowę. Oczywiście w głowę w kasku. Odegrał w moim życiu krótką, ale istotną rolę. Był moim pierwszym partnerem wspinaczkowym, trochę nieobliczalnym.

Wiosną 1960 roku, w którym w lipcu miałem skończyć 12 lat, ciężko się rozchorowałem. Miałem zapalenie nerek i uszu jednocześnie. Kolejną poważną chorobę miałem dopiero 58 lat później. Byłem naprawdę mocno chory. Mama z Magdą poszły nawet do kościoła by się za mnie pomodlić. Gdy się o tym dowiedziałem, tak się wkurzyłem, że omal nie dostałem zapaści.

Po tej chorobie mama postanowiła, że tym razem pojedziemy wyjątkowo do domu wczasowego w Zakopanem, bym miał dobre warunki. Był to jedyny dom wczasowy w jakim byłem w życiu. Warunki były może dobre, ale było tam strasznie nudno. Popularne wśród wczasowiczów wieczorki zapoznawcze i później poranki rozpoznawcze (... z kim to ja tym razem?) mnie w tym wieku zupełnie nie interesowały. Zacząłem się więc z tego domu wczasowego urywać do swoich góralskich kolegów.

Ten rok 1960 przyjmuję umownie jako pierwszy rok mojego taternictwa, bo wówczas po raz pierwszy związałem się liną, na skałkach Nosala. Właśnie z Grotolazem. Ściągnęliśmy ze strychu Staszka Gronia Gąsienicy (taternika i skoczka narciarskiego) połowę sizalowej zjazdówki (ok. 30 metrów), na której suszył on pranie. Oczywiście za jego przyzwoleniem. To była nasza lina.

Nie mieliśmy bladego nawet pojęcia o technice wspinania i asekuracji. Poza tą liną nie mieliśmy też żadnego sprzętu, zresztą i tak nie umielibyśmy go używać. Chodziliśmy się wspinać na skałki Nosala nie mając pojęcia jakie są tam drogi wspinaczkowe. Chyba nie wiedzieliśmy nawet, że w ogóle są drogi wspinaczkowe. Na pewno zresztą przez cały sezon nie wiedzieliśmy, że istnieją przewodniki i opisy dróg. Wybieraliśmy po prostu taki teren, który wydawał nam się „do przejścia”.

Na Nosalu przeżyłem też pierwsze w życiu odpadnięcie, które jakimś cudem dobrze się skończyło (choć obiektywnie nie powinno). Wspinałem się na względnie łatwą skałkę z dolną asekuracją, a raczej z dolnym brakiem asekuracji. Grotolaz siedział na niewielkiej turniczce na kamieniu i trzymał linę w ręku. Gdy odpadłem lina między nami zahaczyła o występ skalny, na którym powstało spore tarcie. Prawdopodobnie to mnie uratowało. Partner, który nie umiał asekurować, siedział na ruchomym kamieniu, do niczego nie przypięty i trzymał pojedynczą sizalową zjazdówkę w ręku. Gdy wstał, kamień, na którym siedział spadł. W dodatku sizalowa zjazdówka, nawet podwójna, nie nadaje się do asekuracji, bo jest za słaba.

Co mnie w tym szaleństwie uratowało? Po pierwsze niezaplanowane tarcie na załomie skalnym, po drugie to, że jako dwunastolatek bardzo mało ważyłem. Ta lina pod ciężarem dorosłego człowieka mogła się zerwać bez żadnej dodatkowej przyczyny.

Najlepszy jednak był kontekst tego wydarzenia. Turyści oglądający nas ze szlaku na Nosal wydali z siebie głośne:

- Oooo!!!

A ja, gdy zawisłem na tym sznurku, zapytałem:

- *Która godzina?*

Ludzi trochę przytknęło. Chłopak był przed chwilą kandydatem ochotnikiem na trupa, a on się pyta która godzina. Chodziło bowiem o to, że musiałem zdążyć na podwieczorek w tym domu wczasowym, by się nie wydało, że mnie tam nie ma.

Wszystko, co robiliśmy z Grotolazem trąciło lekką paranoją. Jeden z kolegów zapytał mnie niedawno, czemu nie mam zdjęć z tych pierwszych wspinaczek. Nie całkiem nie mam. Mam ich mało i są fatalnej jakości z dwóch powodów. W tym wieku nie mieliśmy jeszcze nawyku robienia zdjęć w górach, no i nie umieliśmy. Miałem wtedy aparat 6 x 9 cm z wysuwającym obiektywem na miechu. Otwierało się klapkę i wysuwało obiektyw na jakieś 12 cm do przodu. Za obiektywem był taki stożkowy miech. Migawka przy samym obiektywie, jeden tylko czas i jedna tylko przesłona. O nastawianiu odległości nie było mowy, bo to nie była lustrzanka. Można było tylko wysunąć obiektyw i zrobić pstryk. Ten aparat był duży i niewygodny. Najczęściej w ogóle go ze sobą nie zabierałem.



Jedynе zdjęcie jakie zrobił mi Grotolaz tego dnia na Nosalu. Jest fatalnej jakości (pod słońce) i, jak widać, nic na nim nie widać. Fot. Krzysztof B. „Grotolaz”.

Pod koniec lata poszliśmy na Halę Gąsienicową. Ciągłe prawie nic nie umieliśmy. Nie umieliśmy asekurować, prawidłowo wiązać się liną (nie znaliśmy węzłów), nie wiedzieliśmy o istnieniu przewodników i skali trudności. Jednym słowem dwóch dzieciaków poszło się wspinać na wariata. Oczywiście w tajemnicy przed rodzicami. I w dodatku w tajemnicy przed starszymi taternikami. Dziś wiem, że to było strasznie głupie. Ci starsi mogli nas czegoś nauczyć, a my myśleliśmy, że nas pogonią do domu.

Poszliśmy nad Czarny Staw i kombinujemy, gdzie by tu wleźć. Żółta Turnia, same kosówki, no to nie. Kościelec? Wygląda od tej strony strasznie pionowo. A może Granaty? Zobaczyliśmy, że na prawo od szlaku jest takie skalne żebro. Wygląda dość łatwo. Wzięliśmy naszą linę zwiniętą przez ramię i jazda. Umówiliśmy się, że jak zacznie być trudno, to się zwiążemy. Idziemy dalej i dalej i nie zaczęło być trudno do końca. Bo i faktycznie nigdzie tam trudno nie jest. Dwaj dwunastoletni chłopcy przeszli Środkowe Żebro Skrajnego Granata na żywca nie wiedząc wcale co przeszli. W następnych dniach

przeszliśmy w tym samym stylu Płyte Lerskiego i Grań Kościelców, na której już zaczęliśmy się asekurować nie umiając asekurować, ale akurat tam nie było to wcale potrzebne.



Haki taternicze z tamtego czasu. Fot. Franciszek Spytek.

Kilka dni później szliśmy zachodem pod Zachodnią Ścianą Kościelca i szukaliśmy czegoś łatwiejszego. A tu trudno, pionowo i dalej też trudno i pionowo, wreszcie już prawie pod przełęczą – bingo! Jest jakaś szansa. Zwiąaliśmy się naszą liną, nie mając ani jednego haka i przeszliśmy ścianę trochę już trudniejszym wariantem.

Wracamy do schroniska, a tu jakiś starszy znacznie chłopak mówi:

- *Widziałem was na Gnojku.*

- *Że co, na czym?*

- *Na Gnojku.*

Uznaliśmy, że facet wyzywa nas do gnojków i postanowiliśmy się obrazić. Nie wiedzieliśmy, że przeszliśmy trójkową drogę Jana Gnojka, taternika z pokolenia Stanisławskiego. To była nasza ostatnia droga tego lata. Gdy kilka lat później, będąc już młodym, ale dorosłym taternikiem, z pewnym już doświadczeniem, opowiedziałem to Bogusławowi Szymańskiemu, orzekł:

- *Byliście dobrym materiałem na kamikaze.*

Speleoklub

Dzięki kontaktom Grotołaza trafiłem do środowiska speleologów i pierwszy raz byłem na kursie dla początkujących. Oczywiście początkujących grotołazów, a nie taterników. Był jeden problem, nie

miałem szesnastu lat i musiałem uzyskać zgodę rodziców. W odsiecz przyszedł mi niespodziewanie Marian Bogusz, który wprawdzie w górach był tylko turystą i malarzem, ale trochę się mną opiekował w zakresie malarstwa właśnie. Marian przekonał rodziców, że po skałach i tak łażę, a na kursie przynajmniej nauczę się asekuracji i zasad bezpieczeństwa. I miał rację.

Na tym kursie nie uczono wspinaczki, bo grotolazi wówczas poruszali się po linach i drabinkach sznurowych. Nauczyłem się więc zjeżdżać na linie, chodzić po drabinkach, prusikować (podchodzić po linie) no i asekurować. Oczywiście też wszelkie węzły, bo ja nawet nie umiałem związać się liną na węzeł skrajny tatrzański. Szybko zrozumiałem, że nasza asekuracja pseudo „liną” była gorsza, niż gdyby jej wcale nie było.



Zjazd na linie w kluczu. Wersja lewostronna. Ilustracja z podręcznika.

Mój pierwszy zjazd na linie to był horror. Zjeżdżało się wtedy tylko w kluczu, to znaczy, że linę idącą z góry trzymało się lewą ręką, następnie przechodziła pod prawym udem, w poprzek klatki piersiowej na prawe ramię i do lewej ręki. W czasie zjazdu lina straszliwie wprost tarła w udo i ramię, czasami powodując bolesne obtarcia, nawet do krwi. Wtedy, gdy miałem trzynaście lat, nie wynaleziono jeszcze przyrządów do zjazdu i do podchodzenia po linie oraz asekuracji. Wszystko było ręczną robotą, a liny były wyłącznie sizalowe. Z nylonu robiono wówczas pończochy a nie liny.

Pierwszy zjazd odbyłem z trzydziestometrowej wieży triangulacyjnej w Czosnowie pod Warszawą. Wszedłem po drabinie na górę, tam instruktor związał mnie liną asekuracyjną. Założyłem klucz i zacząłem wychodzić do zjazdu przez otwór w platformce. Do tej pory nie widziałem „luftu”, czyli wysokości. Wszedłem w zjazd i nagle zobaczyłem, że jestem w pustce trzydzieści metrów nad ziemią. Do tej pory bywałem znacznie wyżej, ale zawsze stałem na skale i trzymałem się jej rękami, a tu pustka dookoła. Zjechałem jakieś dwa metry i zobaczyłem tuż obok siebie jedną z poziomych belek wieży. Wpadłem w panikę. Puściłem linę i rozpaczliwie chwyciłem się tej belki. Belka była okrągła i chwyt był bardzo zły. Przeżyłem całe „dojrzewanie”, rozginanie się palców, wyślizgiwanie się chwytu... Zapomniałem, że jestem asekurowany. Instruktor bezlitośnie pozwolił mi dojrzeć i opuścił mnie na linie asekuracyjnej na ziemię.

Byłem w takiej panice, że gotów byłem uciec do domu. I wtedy podeszła do mnie Krysia Rapacka i powiedziała:

- Jeśli się teraz nie przelamiesz, to nigdy nie będziesz się wspiął i zawsze będziesz się bał.



Wieża triangulacyjna w Czosnowie. Zdjęcie późniejsze. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wszedłem znów na górę i odbyłem dwa kolejne zjazdy na linie. Nadal się bałem, ale się zawzięłem. Kilka dni później przyjechałem sam do Czosnowa z pożyczoną liną (prawdziwą, nie „naszą”). Wszedłem na wieżę, przywiązałem linę, wszedłem w klucz i zjechałem. Bez asekuracji i bez nikogo do pomocy. Tego dnia zjechałem jeszcze trzy razy. Bałem się co raz mniej.

Nie zostałem w końcu grotolazem. Byłem wprawdzie w paru jaskiniach, ale to nie mój świat. Ja jestem chłopak dalekich przestrzeni, słońca i wiatru, a nie ciasnych, ciemnych, mokrych i zimnych dziur. Ja lubię światło, biały śnieg i horyzont tak cholernie daleko widziany ze szczytu. Niebo na siedmiu tysiącach prawie czarne i niebieską warstwę powietrza pod nogami. Na tym niebie można czasem w dzień widzieć gwiazdy i słońce jednocześnie.

I jeszcze jedno, co mi nie odpowiadało. Do jaskini łatwiej wejść niż niej wyjść. W górach jest odwrotnie. Ścianę skalną trudno pokonać, ale wycofać się nie problem. Kilka zjazdów na linie i do

domu. Do jaskini najczęściej zjeżdża się na linie, a wychodzi do góry po linie na węzłach zaciskowych lub drabinkach. Ja lubię mróz, a nie wilgotny ziąb i wodę kapiącą za kołnierz.



Zjazd na linie w Tatrach, w ścianie Kazalnicy. Zjeżdża Bogdan Zalega. Fot. Krzysztof Łoziński

Dzięki speleologom poznałem podwarszawskie bunkry i grupkę młodych ludzi, moich rówieśników, lub niewiele starszych, wspinających się na bunkrach. Tu poznałem Bogusia Słamę, braci Skierskich i braci Mierzejewskich. I na te bunkry zaciągnąłem kilku moich szkolnych kolegów, których zaraziłem wspinaczką. Przede wszystkim braci Wroczyńskich. Dwaj z nich, Krzysztof i Michał, chodzili ze mną do klasy, trzeci – Piotrek, był nieco młodszy. Czwartym był znacznie młodszy Tomek. W tamtym czasie przyjaźniliśmy się tak, że mieliśmy wspólny sprzęt wspinaczkowy a mama Wroczyńska mówiła na mnie „piaty brat”. W dorosłym życiu nasze drogi jednak się rozeszły.



Na bunkrach w Czosnowie pięć lat później. Mam już 18 lat. Asekuruje mnie Michał Wroczyński.

Zaczęliśmy też jeździć w skałki Jury, najczęściej do Podlesic. Jechało się pociągiem do Zawiercia, w tamtym czasie dość ponurego miasta. Stamtąd autobusem do Kroczyca, z których wówczas szło się już piechotą do Podlesic. W Zawierciu był przed dworcem wybrukowany kocimi głowami plac, z którego odjeżdżały autobusy. Na tym placu stali gromadnie miejscowi młodzieńcy z radiami tranzystorowymi pod pachą i podrygiwali w takt muzyki umpa-umpa. Dziś powiedziałyby się disco polo. Michał Wroczyński któregoś razu zauważył, że my dwaj jesteśmy jedynymi mężczyznami w tym mieście, którzy nie mają czarnych spodni. Dzisiejsze Zawiercie jest już zupełnie inne.

Kolejna atrakcja czekała w Kroczycach, gdzie na przystanku stały „pingwiny”. Tak nazywaliśmy miejscowych, którzy już po mszy i pierwszej flaszcze, w czarnych garniturach i pod krawatem czekali komu by tu przyłożyć. „Niech wie”.

Mimo to w skałkach i na bunkrach bywaliśmy tak często, że powtarzałem dziewiątą klasę (drugą licealną) bo miałem 148 dni nieobecności nie usprawiedliwionych. To były fajne przygody. Nocowaliśmy w namiotach, lub nawet wprost pod gołym niebem, paliliśmy ogniska, przeżywaliśmy pierwsze damsko-męskie przygody.



Wspinam się w Skałkach Podlesickich, na „Nikodemówce”. Właśnie znalazłem chwyt – dziurkę na dwa palce. To akurat nie jest specjalnie trudna droga. Zdjęcie znacznie późniejsze.

W kontekście skałek muszę wspomnieć o niezbyt miłym wypadku Michała Wroczyńskiego, który wydarzył się kilka lat później, chyba w 1970 roku, gdy ja byłem w wojsku. Michał był instruktorem na kursie skałkowym, a że był czuły na płęć niewieścią (a kto nie był?), to się popisывał. Pokazywał kursantom zjazd na linie z Cimy (takiej skałki w Ogrodzieńcu). Stanowisko zjazdowe było założone z tak zwanego ucha skalnego. W skale wapiennej występują takie otwory na wylot, jakby mini jaskinie, nazywane przez nas uchami. Rzecz w tym, że w tym uchu skała była pęknięta i nie było tego widać. Michał chciał przed dziewczynami zjechać efektownie, takimi skokami po kilka metrów, a nie płynnie. Przy którymś skoku ucho skalne pękło i Michał spadł ok. 17 metrów. Połamał w drobny mak obie nogi i miednicę. Dziś zaleca się zjazd płynny, by nie szarpać na stanowisko i stanowisko z dwóch punktów, ale wówczas była taka moda, taki szpan.

Michał wylądował na długo w szpitalu w Zawierciu, dobrym szpitalu z dobrą chirurgią (łatali tam ludzi po wypadkach w kopalniach). Później już w Warszawie Michał długo jeszcze nosił gips. Jako młodzi ludzie byliśmy dość imprezowi (na imprezy nie mówiło się wśród nas „prywatki” tylko „spęd bydła”). Michał w czasie tych imprez potrafił gdzieś zniknąć, by obudzić się w parku na ławce bez gipsu, bo go sobie zdjął. W każdym razie w końcu go wyleczono skutecznie. Pozostało mu tylko opadanie prawej stopy, ale świetni sobie z tym radził.

W lecie 1971 roku byliśmy z Krzyśkiem i Piotrkiem na Hali Gąsienicowej w Betlejemce (wówczas prywatnym schronisku). Michał, gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, miał jeszcze ostatni gips. Pewnego dnia zadzwonił do schroniska z dworca w Zakopanem i powiedział, że nie ma już gipsu i trzeba pomóc mu zanieść plecak, bo on będzie siedł na Halę. Zeszliśmy z Krzyśkiem do Kuźnic, gdzie Michał podjechał PKS-em. Szliśmy na Halę Gąsienicową przez Boczań sześć godzin (normalnie chodziliśmy ok. pół godziny), bo Michał z trudem przestawiał nogi. Gdy dochodziliśmy do Betlajemki, ktoś stojący w drzwiach zapytał:

- *Co, nowe buty?*

- *Nie, nowe nogi – odparł Michał.*

Skojarzenie z butami polegało na tym, że wówczas wspinano się w butach „Zawrat”, które miały taką cechę, że niemiłosiernie obcierały nogi, dokąd się nie rozchodziły. Produkowanie tych butów powinno być karalne.

Ale wracajmy do lat sześćdziesiątych.

Zaczeliliśmy szukać kontaktu z Klubem Wysokogórskim, ale przez przypadek trafiliśmy do SKT – Stołecznego Klubu Tatrzańskiego. Ten klub nie był wyłącznie turystyczny, bo byli w nim także taternicy. Gdy miałem 16 lat, na obozie z SKT w Dolinie Kieżmarskiej przeszedłem ze słowackim partnerem pierwszą naprawdę poważną drogę tatrzańską, drogę Stanisławskiego na Małym Kieżmarskim. Ponad 900 metrów pionowej skalnej ściany o trudnościach V to było dla szesnastolatka naprawdę coś. Wspinaliśmy się cały dzień i ze szczytu schodziliśmy po ciemku. To już nie były ścianki takie jak Zamarłej Turni, gdzie przechodziłem Lewych Wrześniaków (140 m), czy Kościelca z Kominem Świeża, lub „Sprężyną” (80 m). To była ściana, jak to się mówi, „po byku”. Oczywiście miałem za sobą już trochę tatrzańskich wspinaczek, ale głównie w rejonie Hali Gąsienicowej i nigdy więcej jak „stare pięć”. Różne Filary Świnicy, Filary Staszla itp. Stanisławski na Małym Kieżmarskim w porównaniu z tym mają się, jak fikołki na trzepaku do skoku o tyczce.



Mam 16 lat, na obozie SKT w Dolinie Kieżmarskiej, pod ścianą Jastrzębiej Turni. Fot. Bożena Jesionkiewicz.

W tym czasie, gdy ja byłem w Dolinie Kieżmarskiej na Słowacji, zdarzył się ciekawy incydent. Po powrocie ze Słowacji od razu pojechałem do Warszawy i udałem się prosto do domu, a tu patrzą na mnie jakoś dziwnie, mówią, że się cieszą, że nic mi nie jest itp. Patrzą na rodziców i siostrę jak osłupiały i nie wiem o co chodzi. Okazuje się, że zostałem prawie uśmiercony przez prasę.

W tamtych latach wychodziły tylko trzy główne ogólnopolskie gazety: „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy” i „Sztandar Młodych” i kilka gazet o znacznie mniejszym zasięgu. Pewnego dnia we wszystkich trzech ukazała się maleńka PAP-owska notatka: W rejonie Hali Gąsienicowej w Tatrach uległ wypadkowi taternik Jerzy Łoziński z Warszawy. W stanie ciężkim został przewieziony do szpitala.



Górna część północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu. Droga Stanisławskiego idzie mniej więcej środkiem. Fot. Archiwum K.Ł

Ja mam na imię Krzysztof i nie mam drugiego imienia, ale Jerzy to imię mojego ojca. Można więc było zrozumieć, że chodzi o mnie, a tylko ktoś pomylił imiona. Moi rodzice nie od razu tę notatkę przeczytali. Mój ojciec, nic nie wiedząc, poszedł do pracy, a tu koledzy zadają mu dziwne pytania:

- Panie inżynierze, czy pański syn jest taternikiem?

- Jest.

- A czy pański syn jest w Tatrach?

- Jest.

Po paru takich pytaniach ojciec zażądał, by w końcu powiedzieli mu, o co chodzi. Dopiero wtedy przeczytał tę notatkę. No i zaczęły się telefony do Zakopanego. Hela Hajdukiewiczowa zapakowała jakieś pomarańczki i herbatniki i pognęła do szpitala. Zobaczyła w szpitalnym łóżku wysokiego blondyna, który w dodatku wcale nie był „w stanie ciężkim”.

Okazało się, że w szpitalu nie są wcale pewni, jak się delikwent nazywa, a już na drugi dzień okazało się, że to zupełnie kto inny. Po prostu prasa PRL-u była bardzo beztroska. Korespondent PAP-u usłyszał niedokładnie nazwisko, które zresztą było podobne, ale inne (Łozowski), i napisał cokolwiek, nie przejmując się tym, że czyjaś rodzina może to przeczytać.

Jest taki przesąd, że jak kogoś pochowają przez pomyłkę, to będzie długo żył i widać coś jest w tym prawdy, bo przez pięćdziesiąt lat uprawiania alpinizmu, w tym dobre trzydzieści lat bardzo intensywnie, nie miałem żadnego wypadku. To aż nieprawdopodobne, ale tak było. Miałem wprawdzie odpadnięcia i loty z lawinami, ale nigdy mi się nic nie stało. Raz tylko w Himalajach zwicznąłem nogę, ale w potoku, a nie w czasie wspinaczki.

Przez pierwsze kilka lat wspaniałem się nie należąc do żadnego klubu. Nigdy nie byłem kursantem na kursie taternickim, byłem natomiast kilka razy na takich kursach instruktorem. Gdy w końcu zapisałem się do Klubu Wysokogórskiego zostałem niemal natychmiast taternikiem zwyczajnym (najwyższy stopień uprawnień).

Daleko odszedłem od czasów „włezienia do Kirkora”.

POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU
KARTA TATERNIKA

Nr. 467

Krzysztof Łoziński
imię i nazwisko

16.07.1948 r.
Data urodzenia

W-wa, ul. Miodowa 20 m.3
Adres

Karta upoważnia do uprawiania alpinizmu
na terenie PRL zgodnie z Regulaminem
Stopni Alpinistycznych PZA.

Posiada stopień
TATERNIKA ZWYCZAJNEGO

Przynależność klubowa:
KW Warszawa

7.7.76 r.
Data

Posiada stopień
ZWYCZAJNEGO
TATERNIKA JASKINIOWEGO

Przynależność klubowa:
.....
pieczęć

Data
.....
podpis

Zmiana przynależności
klubowej:
.....
pieczęć

Data
.....
podpis

To nie ja zacząłem mieć najwyższy stopień taternicki w 1976 roku. Miałem go wcześniej w Klubie Wysokogórskim. W 1976 roku zaistniał Polski Związek Alpinizmu i zaczął wystawiać dokumenty od daty swego zaistnienia.